

Strona znajduje się w archiwum.

Wywiad z Fabianem Drzyzgą na portalu Sport.pl

Red. Sara Kalisz przeprowadziła wywiad-rzekę z podwójnym mistrzem świata, Fabianem Drzyzgą. W interesującym wywiadzie są też akcenty o MOS Wola, gdzie Fabian trenował w latach 2003-2008 pod kierunkiem trenerów Krzysztofa Zimnickiego i Krzysztofa Felczaka. Zapraszamy do lektury.

SPORT.PL

rozmawiała Sara Kalisz 16.12.2018

Siatkówka. Fabian Drzyzga: Paweł Zagumny był najlepszy przez 20 lat. Mam nadzieję, że przez kolejne najlepszy będę ja

Wydaje mi się, że wszystkie drzwi otworzyłem sobie sam. Nie chciałem się odciąć od nazwiska. Zawsze pracowałem na nie sam - mówi w rozmowie ze Sport.pl podwójny mistrz świata w siatkówce, Fabian Drzyzga.

Jedni doceniają go za indywidualizm, a inni uważają, że wiele zawdzięcza nazwisku. Fabian Drzyzga to siatkarz, który na swoim koncie ma wiele, a ostatnie cztery lata były dla niego najważniejsze w karierze. W 2014 i w 2018 roku sięgnął po złote medale mistrzostw świata. Ten drugi medal zdobył niedługo po narodzinach córki Julki, po skończonym meczu z Brazylią ciesząc się w ramionach komentującego spotkanie



Fabian Drzyzga w czasie Mistrzostw Świata we Włoszech. Fot. Kuba Atys Agencja Gazeta

ojca, Wojciecha Drzyzgi.

Sara Kalisz: Masz 28 lat, na swoim koncie między innymi dwa złote medale mistrzostw świata i srebro Ligi Mistrzów. Masz również żonę, córkę i psa. Posadziłeś już drzewo pod swoim blokiem w Nowosybirsku?

Fabian Drzyzga: Nie, drzewo chyba się nie przyjmie z powodu zimy. A tak na poważnie, to prawda, że krok po kroku moje życie wygląda coraz bardziej normalnie. Jest to zasługa mojej żony i „dopełnienia” w postaci naszej córki. Życiowo jesteśmy w bardzo dobrym miejscu.

Chciałeś mieć szybciej i więcej od innych?

Nie chciałem mieć szybciej i więcej, choć zawsze byłem uparty i dość prędko wyznaczałem sobie cele. Zarówno prywatnie, jak i zawodowo udaje mi się spełniać marzenia, ponieważ nigdy nie spocząłem na laurach. Pierwsze sukcesy pojawiły się dość szybko, bo już w wieku 15 lat, kiedy zdobyłem mistrzostwo Polski kadetów. Później nie wszystko szło w stu procentach tak, jak to sobie założyłem, ale mimo to w wieku 28 lat mogę powiedzieć, że cieszę się z tego, co osiągnąłem. Mam nadzieję na więcej.

Co było celem numer jeden

- Sukces w sporcie. Kontakt z piłką miałem od małego. Mam starszego o 5 lat brata, który również grał, więc często rywalizowaliśmy ze sobą. Byłem jednak strasznie uparty i niezależnie od tego, ile razy był ode mnie lepszy, to na koniec zawsze musiał dać mi wygrać. Ja miałem dość, to później katowałem tatę. On nie musiał się ruszać, a i tak dawał mi wycisk. Zabierał mnie do klubów, które prowadził. Zawsze zlecał mi konkretne odbicia, a ja przez częste ich powtarzanie popełniałem coraz mniej błędów.

Z kim udawało ci się podbijać?

- Kiedy tata pracował w Radomiu, byłem w 4 klasie podstawówki. Odbijać już umiałem i choć nie byłem w tym najlepszy, to dostałem swoją szansę. W zespole zdarzyła się kontuzja, więc na treningu rozgrzewałem się z bardzo

doświadczonym reprezentacyjnym graczem, Marianem Kardasem. Udało mi się go trochę „przeciorać” w obronie – jedna piłka daleka, a druga na rzut. Wielu z chłopaków z klubu śmiało się, że taki małolat jak ja sprawił zawodowemu siatkarzowi sporo kłopotów. Bardzo sympatycznie wspominam ten okres. Podopieczni mojego taty – Jakub Bednaruk, Robert Prygiel czy Piotr Gabrych – często chcieli sprawić mi trochę radości, więc odbijali ze mną kilka piłek. Była to dla mnie wielka frajda.

Wspomniałeś o swoim starszym bracie, Tomaszu. Trudno było mu się pogodzić z tym że byłeś lepszy?

- Nie, nie wydaje mi się. Nie siedzę u nikogo głowie, ale nie pamiętam, byśmy z bratem do siebie „skakali”. Ambicje sportowe nie niszczyły naszych relacji. Nie ma i nigdy nie będzie wypominania, mówienia o tym, że to ja byłem nadzieją siatkówki, a on nie. Zawsze się wspieraliśmy. Nie czułem, że muszę przeproszać za swój sukces. Każde moje zwycięstwo to rodzinna radość i jest ona szczęściem wszystkich najbliższych. Rodzina nie zazdrości.

Byliście z bratem blisko?

- Nigdy nie byliśmy bardzo blisko, ale mamy fajną relację. Rozmawiamy, piszemy ze sobą...

Tomasz mógłby być twoim menedżerem?

- Brat bardzo często pomagał mi w kwestiach zawodowych.

Natrafiłam kiedyś na twoją wypowiedź z młodszych lat z okresu Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Spale. Ponoć powiedziałeś jednemu z nauczycieli: „Siatkówka? Na niej znam się ja albo mój ojciec”. Jeśli to prawdziwy cytat, to w tym wieku były to mocne słowa.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem. Nie jestem łatwym charakterem, ale nie byłem bufonem. Nie tak wychowali mnie rodzice. Można znać swoją wartość, być pewnym siebie, ale nie wolno traktować innych z góry. Nie zmienia to faktu, że dochodziły do mnie niemiłe teksty odnoszące się do mojej gry lub ojca.

Łatwo się mierzy z legendą ojca?

- To, co ojciec zrobił dla polskiej siatkówki, a tym samym też dla siebie i naszej rodziny, zrozumiałem dopiero z wiekiem. Całe szczęście, że tak się stało, bo nie zmieniło to mojego odbioru jego osoby jako ojca. Był dla mnie po prostu tatą i nie myślałem o nim jak o siatkarskiej gwiazdzie.

Jakie porównania słyszałeś najczęściej? Wymagano od ciebie więcej, bo masz na nazwisko Drzyzga?

- Nie wiem, czy wymagano ode mnie więcej. Miałem to szczęście, że gdy byłem młodszy trafiałem na bardzo fajnych trenerów. W Olsztynie był to Sergiusz Ruszel, w Warszawie Krzysztof Zimnicki i Krzysztof Felczak, a w SMS-ie Karol Janaszewski. Nie przypominam sobie, by wymagali ode mnie tego, bym był najlepszy czy skakał wyżej. Po prostu dawali mi sportowo dorastać we własnym tempie.

Zdarzało się jednak tak, że przez kilka godzin trenowałem z innymi szkoleniowcami i to właśnie od nich najczęściej słyszałem niemiłe rzeczy.

Na przykład?

- Odbijałem do koszy dla rozgrywających i usłyszałem od jednego z trenerów: „Tata też tak odbijał?”. Tylko się uśmiechnąłem i wróciłem do ćwiczeń. To było podczas mojej gry w SMS-ie.

Czy pamiętasz moment, w którym nazwisko otworzyło ci jakieś drzwi?

- Ciężko to stwierdzić, bo wydaje mi się, że wszystkie drzwi otworzyłem sobie sam. Fajnie jest mieć znajomości, ale wykorzystywanie ich nie jest fair. Jedyna sytuacja, o której wiem, to telefon ojca do MOS-u Warszawa. Powiedział, że ma zawodnika-syna. Nie dało mi to bezpośrednio angażu w klubie, ale mogłem pojechać na obóz.

Ponoć dzwonił też do Stephane'a Antigi.

- Z tego, co pamiętam, to Stephane dzwonił do mojego taty,

a nie tata do Stephane'a. Rozmowa ta dotyczyła tego, jak do mnie dotrzeć.

Było kiedyś tak, że chciałeś udowodnić: nie jestem tylko synem swojego ojca?

- To była opinia siatkarskiego światka. Nigdy tak nie uważałem i nie chciałem się odciąć od nazwiska. Zawsze pracowałem na nie sam. 10 lat temu ono nie znaczyło nic, a teraz jest trochę inaczej.

„Muskuł, muskuł, Fabian! Pokaż Rosjaninowi!” - to cytat z komentarza taty w jednej z transmisji.

- Wiem, że wtedy oddziaływały na niego emocje, które najbardziej dają mu o sobie znać, kiedy gram. Lubię, kiedy komentuje. Uważam, że robi to świetnie i ma głęboki zasób słów. Dobrze się go słucha.

Pamiętamy wszyscy, jak cieszył się po zdobyciu mistrzostwa świata 2014 i 2018. To nie jest gra aktorska, a prawdziwy on. Bardzo cenię sobie jego spontaniczność i szczerłość. Jest naturalny i wiem, że dzięki temu przejdzie do historii.

Atakowano go, oskarżając o stronniczość w komentowaniu meczów Resovii czy kadry z twoim udziałem. W pewnym momencie sam musiałeś go bronić.

- Nigdy nie uważałem, że ojciec mówił w superlatywach o grze mojego zespołu czy mojej. W większości przypadków było wręcz przeciwnie. Mam jednak świadomość, że kiedy dziesięć osób usłyszy jedno zdanie, to każda odbierze je inaczej. Dla świętego spokoju tata przestał więc komentować spotkania Resovii. Nie chciał słyszeć kolejnych bezsensownych rozmów na ten temat. Tak samo mnie chciał tego oszczędzić.

A jaka jest mama Drzyzga? Była koszykarka, mająca w domu trzech rosnących facetów, których po kolei wspierała w sportowej karierze.

- Powinna dostać brylantowy, najcenniejszy rodzicielski medal. Nie miała łatwo z trzema chłopami w domu. Pamiętam, kiedy urodziła się nasza córeczka Julka, pierwszym, co moja mama powiedziała po łzach szczęścia, to to, że zawsze chciała mieć córeczkę. Teraz ma wnuczkę.

Była psychologką, wsparciem i nigdy nie wtrącała się w aspekty sportowe, choć ma wykształcenie z zakresu wychowania fizycznego. Nie miała z nami łatwo. Pamiętam do dziś sytuację, kiedy trenowałem w MOS-ie Wola. W tej samej szkole, do której uczęszczałem, uczyła moja mama, więc wiedziała, że zbliżają mi się sprawdziany i mam kilka ocen do poprawienia. Zakazała mi pójścia na trening. Spakowałem torbę, otworzyłem drzwi i wyszedłem mimo jej zakazu. Tata z kolei tylko się uśmiechał, bo wiedział, że sportowca nie można powstrzymać od ćwiczeń.

Ta sytuacja pokazała też charaktery rodziców – tata to domowa oaza spokoju, a mama niekiedy wulkan. Jest twardą babką. Mimo to nie musiała od nas często słuchać słowa „przepraszam”, bo choć nie byliśmy z Tomkiem najłatwiejszymi dziećmi, to nie byliśmy łobuzami.

Kto był lub jest najlepszym polskim rozgrywającym ostatnich 20 lat?

- Paweł Zagumny.

I nie masz problemu, by to przyznać?

- Nie, nie mam z tym żadnego problemu. Był najlepszym rozgrywającym przez 20 lat, ale mam nadzieję, że przez kolejne 20 lat po zakończeniu jego kariery najlepszy będę ja. Porównywanie nas jest bez sensu. Czasy młodego Guma, Krzysztofa Ignaczaka, Pawła Papke czy Sebastiana Świderskiego to zupełnie inna droga niż mojego pokolenia. To tamta generacja budowała podwaliny pod dalsze sukcesy polskiej siatkówki, a nie było to łatwe zadanie. My dorastaliśmy na owocach tamtej pracy.

Nigdy nie trenowałem ani nie grałem myśląc o tym, że Guma rozgrywał tak, a nie inaczej. W sporcie coś takiego nie powinno mieć miejsca. Po 2014 roku w co drugim wywiadzie

rozważano co będzie, kiedy kadra zacznie grać bez Mariusza Wlazłego, Pawła Zagumnego czy Michała Winiarskiego. To było aż trudne do słuchania! Mam nadzieję, że ten temat się skończy. Ja tamtym chłopakom niczego nie zabieram. Razem odnieśliśmy sukces, ale jest to już przeszłość i każdy idzie swoją drogą.

AZS Częstochowa czy Asseco Resovia Rzeszów – który z tych dwóch klubów, z którymi wiązały cię po cztery lata kariery, uważasz za ważniejszy dla siebie?

- Zdecydowanie Resovię. To właśnie na Podpromiu wpłynąłem na wielkie wody. Mam nadzieję, że najlepszy czas w mojej karierze jeszcze przyjdzie, ale tam na pewno przeżyłem jeden z lepszych. W tym klubie poznałem, co to znaczy profesjonalizm i doskonała organizacja pracy. Nie trzeba było się przejmować czy pieniądze będą na koncie, i czy będziemy mieli sprzęt do treningu. Oddałem Resovii, co tylko mogłem i to były niezmiernie ważne cztery lata w mojej karierze.

Co do Częstochowy, to była ona wejściem w profesjonalną siatkówkę. Dzięki kibicom zobaczyłem, co to znaczy „kocioł” - ciężko będzie to kiedykolwiek powtórzyć. Grałem w świetnej Hali Polonia, a presja, którą odczuwałem w niej ze strony fanów klubu spowodowała, że już nigdy później oczekiwania kibiców nie były dla mnie aż takim obciążeniem psychicznym. Myślę, że wszyscy zawodnicy pamiętają słynną częstochowską „Żyletę”, która nie zostawiała suchej nitki na własnych siatkarzach czy przeciwnikach. Nie pieścili się z nikim.

W czasie mojego ostatniego, najsłabszego sezonu pod Jasną Górą, drugim rozgrywającym był Jakub Oczko. Któregoś razu klub kibica, a następnie cała hala zaczęli skandować jego nazwisko, domagając się tego, bym zszedł z parkietu. Gdy stałem w kwadracie, usłyszałem cały kwiat słownictwa polsko-łacińskiego. To zrobiło wrażenie. Nigdy później z czymś takim się nie spotkałem. Dla porównania, w Rzeszowie publika była wymagająca, ale fantastyczna. Trafiłem na dobry czas w historii klubu, bo zdobywaliśmy medale, ale zawsze, niezależnie od wyników, czuliśmy wsparcie fanów.

Mówisz o Resovii bardzo dobrze, ale jakiś niesmak po rozstaniu chyba pozostał. Roberto Serniotti rozmawiał z tobą o przyszłości w klubie, miał dać znać co do przedłużenia kontraktu, a ty dowiedziałeś się o innych planach trenera z Internetu. Bolało?

- Nie przywiązuję wielkiej wagi do takich rzeczy. Do samego klubu nie mam zastrzeżeń. Słuchano trenera, kontrakt mi się skończył, a Resovia wypełniła umowę. Roberto Serniotti po kilku rozmowach obiecał, że wyśle mi wiadomość, gdy już podejmie decyzję w mojej sprawie. Gdyby napisał, że nie widzi mnie w składzie, to nie miałbym z tym żadnego problemu, bo takie jest życie sportowca. A tak to pozostał minus. Bycie szczerym jest dużo lepsze niż takie milczenie.

Kim dla ciebie jest teraz Andrzej Kowal?

- Bezrobotnym trenerem. A na poważnie, to miałem z nim różne lepsze i gorsze momenty, ale nie wspominam go źle, bo zawsze dawał mi wolną rękę co do gry. Miałem z nim dobrze.

Wydawało się, że niesamowicie w ciebie wierzył. Do „kanonu siatkarskiego” przeszło zdjęcie, gdy trzymał cię po meczu w ramionach. Nawet stało się memem.

- Wiem, o które zdjęcie chodzi. Zrobione ono zostało po półfinale Ligi Mistrzów. Pozdrawiam Dawida Konarskiego, który najczęściej wysyła mi je i non-stop przypomina mi o mojej miłości do Andrzeja Kowala. Tak na poważnie, to wiem, że nie jestem najłatwiejszym zawodnikiem, choć wydaje mi się, że i tak jestem dużo łatwiejszy do prowadzenia niż wcześniej. Wiemy, że Andrzej Kowal nie ma łatwości komunikowania się z drużyną. Mnie to trochę przeszkadzało, ale chyba nie tak bardzo, jak innym.

Patrzysz na to, co dzieje się w Resovii?

- Oczywiście, że tak. Skład ma świetny, ale gra nadal nie wychodzi. Nie jest to problem trenerski, ale obstawiam, że leży w głowach zawodników. Bardzo ciężko jest je uspokoić. Obstawiam, że jeden zdobyty przez chłopaków punkt nie sprawia im radości, podczas gdy każdy stracony jest dla nich

traumą. Wierzę jednak, że Resovia zagra w szóstce. Dla takiego klubu brak awansu tam byłby tragedią.

Po Resovii miałeś trafić do Włoch, ale nie wyszło i znalazłeś się w Grecji, a wielu stuknęło się w głowę i mówiło, że jest to krok w tył. Wątpiłeś w słuszność wyboru?

- Nie, bo później okazało się, że gra we Włoszech nie byłaby najlepszą opcją. Klub był nisko w tabeli, a wyjazdy na mecze, kiedy czuje się, że się przegra, też są bardzo ciężkie. Żaden sportowiec tego nie lubi. Olimpiakos nie był spełnieniem moich marzeń, ale po sezonie mówiłem bliskim, że jest to wymarzone miejsce do życia przy nieco lepszym kontrakcie. Każdemu życzę, by zagrał w Olimpiakosie, bo jest to klub na najwyższym europejskim poziomie, jeśli chodzi o organizację. Przed sezonem miałem więcej obaw niż w trakcie.

Czy przejmowałem się tym, że liga grecka to nie jest europejski top? Jeśli prześledzimy kariery siatkarzy, to w każdej zdarza się mały „dołek”. To normalne.

Dawida Murka w Grecji obrzucano pieniędzmi, a w Pucharze Challenge kameruńskiego zawodnika gości obrzucano wyzwiskami. Czym obrzucano tam ciebie?

- Sprostuję - kameruńskiego zawodnika niczym nie obrzucano, a wiem to, bo w przeciwieństwie do wielu dziennikarzy, którzy o tym pisali, miałem okazję być na meczu. Zrobiono z tego w siatkarskim świecie duży „boom”, a klub był przez to skrzywdzony. Tak naprawdę nic się nie wydarzyło poza standardowym wybijaniem przeciwnika z uwagi przed wykonaniem zagrywki. Nie pojawiły się rasistowskie komentarze.

Nie znam greckiego, więc nie wiem, co do mnie mówiono w czasie meczów. Jedyne, co zrozumiałem, to słowo „malaka”, które nie ma najlepszego znaczenia, jeśli wypowiada je ktoś, kto cię nie zna. To największa obelga w Grecji.

Nie była to jedyna trudniejsza sytuacja. Kiedyś podczas meczu w Salonikach zostałem opluty, co też jest dość popularnym zachowaniem, jeśli chodzi o ligę grecką. Jest to dość słabe, szczególnie, gdy widzi się plującą na siatkarza 15-

letnią dziewczynkę.

„Przedszkole? Może jednak klasztor Shaolin? Ale jednak nie, bo tam są wielcy ludzie pełni cierpliwości, a my nie byliśmy cierpliwi” - to jeden z twoich cytatów o szkole Ferdinando De Giorgiego. Wasza cierpliwość by coś zmieniła?

- Głośno mówiłem o tym, że jestem pierwszą osobą, która zaufała włoskiemu szkoleniowcowi i robiłem to, co kazał. Zazaczyłem jednak, że jeśli jego metody się nie sprawdzą, to pójdę do niego i będę domagać się zmian w systemie pracy.

To, co działo się między nami w zespole, nie było normalnością. Na dłuższą metę było wyjątkowo męczące psychicznie. Nie miałem jednak możliwości z nim o tym porozmawiać, bo go zwolnili. Mimo wszystko nie zmienia to mojego zdania, że Ferdinando De Giorgi jest dobrym trenerem. Relacja między trenerem a jego zawodnikami jest kluczem do wszystkiego. Jeśli ma dobrą chemię z trzema czy pięcioma graczami, to fajnie, ale trafić powinien do stu procent drużyny. Tym wygrał Vital Heynen. Nie ma u niego kosmicznych treningów, siłowni z NASA, czy innych piłek do siatkówki. Trafił do nas szczerością, pomysłem, rozmową. Jeżeli miał jakiś problem, to byłem pierwszą osobą, która o tym wiedziała, by nie było mi przykro. Belg jest bardzo dobrym psychologiem. Umie słuchać. Nie jest tak, że przychyła się do każdego wniosku, ale zawsze próbuje coś zmienić i sprawdzić, czy się nie myli. Na tym polega relacja, a nie na biciu linijkami po palcach, bo coś złego robimy.

Wyobrażasz sobie powrót pod skrzydła Stephane'a Antigi po słowach o tym, że straciłeś u niego 1,5 roku w kadrze?

- Myślę, że byłoby to trudne. Musiałaby mieć miejsce bardzo szczerą rozmowę. Nie wiem, czy jestem w stanie taką sytuację wymazać z pamięci. Nie był to dla mnie łatwy okres.

Wtedy w mediach menedżerowie i dziennikarze mówili, że popełniasz medialne samobójstwo: „Skrajna nielojalność”, „niezrozumienie idei drużynowości”, „trzymanie władzy”, „rozwalanie grupy”. Miałeś moment, w którym zastanowiłeś

się czy nie przesadziłeś?

- Nie, kompletnie nie, bo wiem, co się działo w środku kadry. Dziennikarze mają prawo pisać, co chcą i nie mam z tym problemu. Dopiero teraz zmieniło się jednak to, że zdanie zawodnika liczy się bardziej niż trenera. Uważam, że idziemy w dobrym kierunku, bo to siatkarze, a nie szkoleniowcy czują bardziej to, co dzieje się na boisku. Nie zmienia to faktu, że bez trenera gracz nie istnieje. Odezwałem się wtedy ja, a Michał Kubiak wyjechał do Japonii, więc wyszło jak wyszło.

Masz problem z autorytetami? Mówiłeś też, że u Anastasiego byłeś niewidzialny.

- Zadajmy sobie pytanie, czy trener ma być autorytetem. Nie uważam, by w ogóle to było możliwe. Trener powinien być człowiekiem, który rozumie, pomaga, trafia do zawodnika i nie narzuca, trwając przy swoim. Szkoleniowiec powinien odpowiadać na problemy zawodnika, pytać, co u niego, starać się dać mu z siebie jak najwięcej, nie ignorować go. Nie ma wtedy znaczenia czy jest podwójnym mistrzem olimpijskim, czy nauczycielem wf-u.

Vital jako zawodnik był świetny, ale jako gracz kadry nie wygrał niczego. Belgia nigdy nie była mocarzem siatkówki, jednak Belg jako trener ma wszystkie cechy, które pozwalają mu być świetnym szkoleniowcem. Nie było tak, że wszedł do naszej kadry i wszyscy klęknęliśmy z wrażenia. Trafił do nas jako człowiek. To wystarczyło.

Co się stało przed meczem z Serbią, że tak zagraliście?

- Sprytna próba, ale tego nie zdradzę. Wiem o tym ja i reszta zawodników. Jeśli któryś się wygada, to już w kadrze nie zagra, haha!

Czy po drugim złocie mówisz o sobie tak, jak mówił o tobie twój tata: „Jesteś najlepszy”?

- Nie, broń Boże. Idę na kolejny trening, odbijam kilka razy krzywo i znów nie jestem najlepszy. Drugi złoty medal dla naszej grupy będzie dużo więcej znaczył niż dla zespołu z 2014 roku. Mam nadzieję, że ten sukces nie zamieni nas w

bufonów, przekonanych, że wszystko im się należy. Chcę, byśmy wrócili razem do treningów i pracowali jeszcze ciężiej. Ta grupa ma potencjał na lata.

Kiedy po raz pierwszy poczułeś się tatą?

- Kiedy przywieźli Julkę po narodzinach i ją kangurowałem. Było to dość abstrakcyjne uczucie. Patrzyłem na tę małą istotkę i wiedziałem, że beze mnie, a tym bardziej bez mojej żony, by jej nie było. To było niesamowite. Poczułem, że muszę ją bronić, bo ta mała sobie bez nas na tym świecie nie poradzi.

Który z chłopaków z kadry dawał ci najwięcej rad odnośnie ojcostwa?

- Oj, w kadrze miałem wielu tatusiów – Piotrka Nowakowskiego, który ma córkę, Michała Kubiaka, który ma dwie, ale byli także świeżo upieczeni tatusiowie libero, czyli Paweł Zatorski i Damian Wojtaszek. Dzielili się wspomnieniami, dawali rady.

Będziesz tatą-mistrzem świata w pleceniu warkoczy, czy zostawisz to żonie?

- Będę próbował! Najważniejsze jednak, by żona i córka były zdrowe, i by wychować małą na dobrego człowieka.

Z tej nowej perspektywy, czyli podwójnie mistrzowskiej i też ojcowskiej, czym jest dla Ciebie polska kadra?

- Zawsze była i będzie spełnieniem marzeń. Dzięki niej spotkałem najlepszych i grałem z nimi, weryfikując umiejętności. Zawsze będę na nią przyjeżdżał, jeśli będę zdrowy i pozwoli mi na to życie prywatne. Nikt nie skończy mi kariery poza mną samym. Granie w kadrze to wielki przywilej i wyróżnienie. Trudno było mi nie widzieć Julii po narodzinach. Spełnienie reprezentacyjnych marzeń jest więc możliwe w dużej mierze dzięki mojej żonie, która musiała sobie poradzić z tym, że nie było mnie na początku. Nie robiła wyrzutów, nie skarżyła się, że jest trudno i nawet, gdy było jej ciężko, dawała mi wsparcie.

2018 rok to najważniejszy rok twojego życia?

- Zdecydowanie tak. Narodziny dziecka nie zdarzają się codziennie. Wywracają życie o 180 stopni. To najlepsza możliwa zmiana.

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)